Karol May

Maksymilian, cesarz Meksyku cz. 2

Leśna Różyczka

Tom 8

Część III

Zwycięstwo mścicieli

JAMAKASZ

Doktor Carlos Sternau jako „Matava-se" czyli „Książę Skał"

Karol May

Leśna Różyczka

czyli w pogoni za zemstą dookoła świata.

Wielka powieść demaskatorska o tajnikach ludzkiego społeczeństwa napisana przez Ramona Diaza de la Escosurę

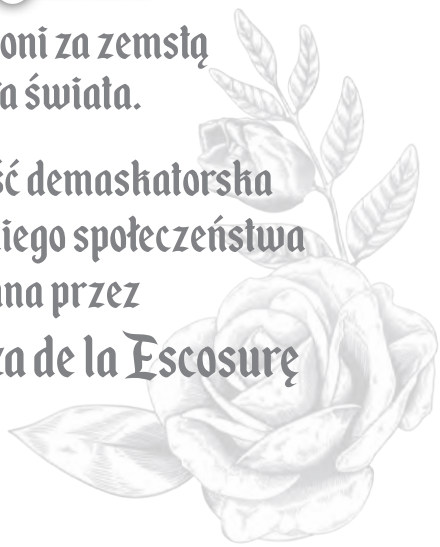

Maksymilian, cesarz Meksyku cz. 2

Karol May

Maksymilian, cesarz Meksyku cz. 2

Przełożył Tomasz Mierzwa

Leśna Różyczka

Tom 8

Część III

Zwycięstwo mścicieli

Sto czterdziesta piąta publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ

Ósmy tom kolekcji „Leśna Różyczka"

Karol May

Tytuł oryginału niemieckiego: *Waldröschen oder Die Rächerjagd rund um die Erde*

© Copyright for the Polish translation by Tomasz Mierzwa, 2024

29 ilustracji, w tym 12 kolorowych kart tablicowych anonimowego twórcy zaczerpnięte z edycji niemieckiej (Wydawnictwo H.G. Münchmeyer, Dresden-Niedersedlitz, 1902 r.)
podkolorowanie: Dariusz Kocurek

Redaktor kolekcji: Andrzej Zydorczak
Redakcja: Maria Sarnowska
Przypisy: Tomasz Mierzwa, Andrzej Zydorczak
Korekta: Andrzej Zydorczak
Koncepcja graficzna, projekt i konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2024

ISBN 978-83-66268-99-9 (całość kolekcji)
ISBN 978-83-67876-36-0 (tom 8)

Wydawnictwo JAMAKASZ
www.jamakasz.pl

e-mail: jamakasz2013@gmail.com
tel.: 32 340 21 42, 531 094 758
Ruda Śląska 2024

Rozdział trzeci

MAKSYMILIAN, CESARZ MEKSYKU CZ. 2

Kilka dni później równina rozciągająca się na północ od Santa Catarina cała drżała pod uderzeniami kopyt galopujących koni.

Około trzystu jeźdźców pędziło przez otwartą prerię pokrytą krótką, rzadką trawą. Byli różnie ubrani i różnie uzbrojeni, ale zdawali się tworzyć spójny oddział.

Na czele jechało trzech jeźdźców, dwóch starszych i jeden młodszy. W jednym ze starszych rozpoznajemy Pabla Corteja; w młodszym – Josefę, jego córkę, ubraną w męski strój i również siedzącą w siodle jak mężczyzna. Nie wydawało się to dla niej łatwe, co nie trudno było zauważyć po jej niepewnej postawie na koniu. Trzeci z nich nie był tak stary jak Cortejo, ale w najgorszym możliwym sensie miał prawdopodobnie tyle samo doświadczenia, co ten drugi. Jego twarz była nie tylko nie budziła zaufania, ale także wręcz była brzydka i przerażająca. Był uzbrojony po szyję i miał wygląd człowieka, z którym nie można było bezkarnie zadzierać. Nawet teraz jego twarz zdawała się mieć jeszcze bardziej złowrogi wyraz niż zwykle. Przenikliwe oczy przeczesywały horyzont, po czym raz po raz wracały z niezadowolonym spojrzeniem na najbliższe otoczenie.

W końcu wypowiedział głośne, bluźniercze przekleństwo, a potem dodał:

– Kiedy skończy się ta przeklęta jazda, *señor* Cortejo?

– Jeszcze przez chwilę proszę być cierpliwym – odpowiedział ten. – Wkrótce będziemy mogli skręcić w lewo i zsiąść z koni.

Leśna Różyczka

– Gdzie? Nie widzę żadnej hacjendy!

– Spójrz tam, mocno ostro w lewo! Czy widzisz ten ciemny pas?

– Tak. Co to jest?

– Las.

– Las? Więc uważacie, że należy zsiąść w lesie?

– Tak.

– Dlaczego?

– Aby odpocząć i jednocześnie wysłać zwiadowcę.

– Nie jesteście przy zdrowych zmysłach. Nie jestem bravo[1], który lubi wałęsać się po lasach. Po co ten zwiadowca, hę?

– Z ostrożności. Musimy najpierw zobaczyć, jak wygląda sytuacja w hacjendzie.

– Nie tak to widzę. Jaki jest pożytek z tego długiego przygotowania? Jest nas prawie trzystu i nie mamy się czego obawiać. Po prostu podjeżdżamy pod hacjendę, wpadamy tam, wycinamy wszystko, co się nam sprzeciwi i jesteśmy panami tego miejsca. Przyprowadziłem wam moich ludzi, aby w waszej służbie zdobyć dobre łupy, a nie po to, aby nas ciągać po lasach.

– Kto ci każe robić to drugie?

– Ty, właśnie teraz.

– Zupełnie źle mnie zrozumiałeś. Tu chodzi tylko o krótki odpoczynek, a nie dłuższe przebywanie w lesie.

– Nawet ten krótki pobyt jest niepotrzebny.

– Tak myślisz? A co, jeśli w hacjendzie są Francuzi?

– Do wszystkich diabłów, to prawda! Te psy rozłażą się na wszystkie strony. Ale chyba hacjenda del Erina leży w dużym odosobnieniu? Czego chcieliby tam Francuzi?

– Tak, jest osamotniona, ale zawsze jest przy głównym trakcie do Cohahuila. Bardzo łatwo więc wyobrazić sobie, że nieprzyjaciel owładnął nią, by umieścić w niej tymczasowy posterunek.

[1] *Bravo* (hiszp., wł.) – zbir, najemny skrytobójca; także: dzielny, śmiały.

– Chyba nie byłby on zbyt mocny.

– Tego rzeczywiście należy się spodziewać; ale jednocześnie jest wysoce prawdopodobne, że w takim przypadku wróg obwaruje hacjendę.

– Hm, możesz mieć rację. Wyślijmy więc posłańca, który zasięgnie informacji; ale starajmy się jechać ostro, abyśmy szybko dotarli do lasu.

Ciemna smuga przed nimi stawała się coraz wyraźniejsza i w końcu dało się ją rozpoznać jako las, w kierunku którego pędziły konie.

Był to ten sam las, w którym miały miejsce opowiadane wcześniej wydarzenia. Gdy do niego dotarli, jeźdźcy nieco wjechali w głąb i pozwolili koniom paść się pod nadzorem strażników, natomiast sami rozbili obóz na ziemi i wyciągnęli żywność, którą ze sobą wieźli.

Trzej, którzy wcześniej jechali na czele orszaku, usiedli obok siebie.

– Teraz wybierzcie człowieka, na którym możemy polegać – powiedział Cortejo. – Musi być zręczny i przebiegły.

– Mogę wziąć pierwszego lepszego. Wszyscy moi ludzie są sprytni. Ale najpierw jasno należy określić, co mamy dostać.

– Myślę, że w tej kwestii mamy już jasność!

– Och, nie!

– Dostaniecie swoją zapłatę!

– Żądałem zapłaty i łupów. Zapłaciłeś wszystko uczciwie, ale łup jak dotąd każe na siebie czekać. Jak się mają sprawy pod tym względem w del Erinie?

– Całkiem dobrze dla was. Możecie wziąć wszystko; tylko jedną rzecz chcę mieć dla siebie!

– Co takiego?

– Akt zakupu posiadłości.

Trzej, którzy wcześniej jechali na czele orszaku, usiedli obok siebie.

– Do wszystkich diabłów, nie jesteś głupi! Dzięki temu aktowi cały majątek przejdzie w twoje ręce. Cóż, nie przydałoby się to ani mnie, ani moim ludzi. Nie możemy też włożyć budynków do kieszeni; ale z tego, co w nich jest, niewiele zostanie dla ciebie.

– Dla mnie to wszystko jedno, jeśli tylko uda mi się zdobyć akt zakupu.

– A co z mieszkańcami? Poślemy im kulki?

– Róbcie jak chcecie.

– Lepiej żeby byli martwi, wtedy nie będą mogli mówić.

– W porządku! Ale dwie osoby musicie mi oszczędzić.

– Kto to ma być?

– Hacjendero Petro Arbellez i stara kobieta o nazwisku Hermoyes.

– Czego od nich chcesz?

– Mam z nimi bardzo szczególną kość do zgryzienia.

– Gryźcie sobie, nie chcę stawać wam na drodze. Wręcz przeciwnie, bo tam gdzie dotyczy to starej kobiety, zawsze lubię trzymać się od niej jak najdalej. Ale jak daleko jest stąd do hacjendy?

– Można do niej dotrzeć za godzinkę.

– Czy przyjmą człowieka, którego tam wyślę?

– Jak najbardziej, jeśli tylko nie boi się Francuzów.

– Ani mu to będzie w głowie. Ale za kogo ma się podawać? Może za *vaquero*, który chce podjąć pracę u hacjendera?

– Nie. Petro Arbellez jest zwolennikiem Juareza i to dzięki niemu przypadła mu hacjenda Vandaqua. Mężczyzna może udawać posłańca, który chce jechać do Juareza.

– Ach, do El Paso del Norte?

– Tak.

– Więc przez kogo powinien zostać posłany?

– Przez jednego ze znanych zwolenników Juareza, być może przez generała Porfirio Diaza, który jest najsłynniejszym stronnikiem Indianina.

– Dobrze, ale co potem?

– Człowiek ten jako posłaniec generała zdobędzie zaufanie hacjendera i dowie się wszystkiego. Będzie wiedział w jaki sposób można zaskoczyć Francuzów, jeśli w ogóle tam są. O północy może potajemnie opuścić hacjendę i iść wprost od bramy w bardzo prostej linii. Tam nas znajdzie, a my będziemy mogli zrobić to, co będzie najlepsze w tych okolicznościach.

– Ten plan nie jest zły. Pójdę kogoś wybrać.

Podniósł się z ziemi i oddalił. Josefa, która do tej pory milczała, teraz powiedziała:

– Ten człowiek z każda chwilą coraz mniej mi się podoba. Czy tobie także, ojcze?

– Masz rację. Gra przywódcę, którym przecież ja tu jestem.

– Musisz się go pozbyć.

– Nie martw się, dziecko. Nie będzie mnie długo denerwował swoją bezczelnością. Najpierw muszę mieć Anglika, a potem nie będę już potrzebował tego draba. Psuje też ludzi, których wcześniej miałem ze sobą.

– Więc naprawdę uważasz, że złapiemy Anglika?

– Jak najbardziej. Moje wiadomości są zbyt pewne.

– Co za rozkosz! Ta dumna Amy będzie klękać przede mną, płakać i błagać o litość; ale ja zdepczę ją pod stopami. Ten pomiot musi zostać zniszczony. Ale co zrobimy z Petro Arbellezem?

– Musi nam wydać akt zakupu, a potem zostanie unieszkodliwiony.

– Zabity? – zapytała, a jej sowie oczy zabłysły.

– Tak. Tylko wtedy będziemy pewni jego milczenia.

– A ta Maria Hermoyes?

– Ona też umrze. Zbyt głęboko wniknęła w naszą tajemnicę, byśmy mogli pozwolić jej żyć.

– Masz rację, ojcze. Muszą umrzeć, ale tylko nie od razu.

– Dlaczego nie?

– Czy szybka śmierć będzie dla nich karą? Czy nie możemy zaoferować sobie większej satysfakcji? Czy nie możemy napawać się ich mękami?

– Ja nie, ale ty możesz.

– Dlaczego ty nie możesz?

– Ponieważ natychmiast opuszczam hacjendę, aby jechać nad Rio Grande i poszukać Lindsaya. Zostawię w del Erinie dobrą załogę. Trafią tam również ci, którzy są teraz werbowani przez moich agentów. Zostaniesz w hacjendzie i dopóki nie wrócę, zajmiesz moje miejsce. Mam nadzieję, że w niedługim czasie uzbieramy wystarczającą liczbę ludzi, aby wybić się publicznie. Wtedy, kiedy zaatakuję Francuzów i pojawię się jako zbawca Meksyku, tysiące napłyną pod moje skrzydła.

– Tak, ojcze, ty będziesz wybawicielem, a ja wybawicielką. Będę uwielbiana i czczona w całym Meksyku; każę bowiem sobie sporządzić chorągiew i kupię sobie zbroję, aby postawić się na czele armii jak Dziewica Orleańska[2] i wyruszyć na krwawy bój.

– Dziewczyno, czyś ty oszalała? Zostaniesz zaraz zastrzelona!

– Tak się nie stanie! Kiedy zacznie się strzelanina, usunę się na bok!

Nie mogli kontynuować tej w najwyższym stopniu interesującej rozmowy, bo wrócił Meksykanin, zajął ponownie miejsce przy nich i poinformował ich, że posłaniec, którego wyznaczył do hacjendy del Erina, już odjechał…

Hacjenda, którą już tak dobrze poznaliśmy, wciąż miała ten sam wygląd co w dawnych latach, ale dziś przedstawiała nie do końca pokojowy widok.

---

[2] *Dziewica Orleańska* (Joanna d'Arc, 1412-1431) – bohaterka narodowa Francji; wiejska dziewczyna, która podczas wojny stuletniej mobilizowała kraj do walki z Anglikami; wzięta do niewoli została oskarżona o herezję i po procesie spalona na stosie.

Na każdym rogu wzniesiono rodzaj oszańcowania, na którym czuwały francuskie posterunki, a na dziedzińcu spoczywała znaczna liczba żołnierzy, którzy pod dowództwem kapitana zostali przydzieleni do ochrony hacjendy.

Ten kapitan siedział na górze w znanej nam już jadalni i rozmawiał z hacjenderem i jego przyjaciółką Marią Hermoyes.

Hacjendero leżał zmęczony w hamaku. Strasznie się postarzał, odkąd stracił dziecko. Jego włosy były długie i śnieżnobiałe; rzeczywiście, miały niemal półprzezroczysty blask lodu. Jego postać była wysuszona i przygarbiona. Miał wygląd człowieka, który liczy sobie ponad sto lat.

Stara Maria również posiwiała, ale wydawała się o wiele bardziej dziarska niż jej pan.

Kapitan był człowiekiem niezbyt starym, ale zwykłym przeciętniakiem, ani nie dobrym, ani złym, ani mądrym, lecz także nie głupim. Właśnie wyszedł do niego żołnierz, przekazując zapieczętowany list, który przyniósł konny kurier.

– Proszę wybaczyć, że otworzę! – rzekł do Arbelleza. – Służba przede wszystkim.

Otworzył list. W trakcie czytania jego twarz przybrała wyraz bardzo natężonej uwagi. Potem znowu złożył list, schował go do kieszeni i powiedział:

– Otrzymałem wiadomość, która jest dla mnie prawie tak samo droga, jak i nieprzyjemna.

Arbellez spojrzał na niego, nie żądając dalszych wyjaśnień. W czasie obecności Francuzów uważał, by nie pokazać ani nie pozwolić nikomu podejrzewać, że jest przyjacielem ojczyzny, zwolennikiem Juareza.

– Wiem – kontynuował Francuz – że nie jesteście wobec nas wrogo nastawieni i dlatego mogę wam powiedzieć, o co chodzi. Przypuszczam, że wiecie, jak daleko nasze wojska zajęły ten kraj?

– Aż do Chihuahua – odpowiedział hacjendero z tłumionym westchnieniem.

– Tak. Zawarliśmy sojusz z Komanczami, którzy są gotowi służyć naszej sprawie jako nieregularna jazda. Teraz może słyszeliście, że były prezydent Juarez uciekł na sam skraj kraju?

– Tak, do El Paso del Norte.

– Wypędzenie go tam też było naszym zadaniem. Trzeba go było albo schwytać, albo przepędzić do Ameryki. To zostało teraz zrobione.

– Ach, naprawdę? – spytał szybko Arbellez.

– Tak.

– On został… schwytany?

– Nie, niestety nie.

– Więc wypędzony?

– Tak. El Paso del Norte jest w naszym posiadaniu, jak mi tu doniesiono. Poza tym może znasz fort położony nad rzeką Puerco zwany Guadeloupe?

– Tak, znam – odpowiedział hacjendero, stając się jeszcze bardziej uważnym.

– Ten również wpadł w nasze ręce.

– Gratuluję ci, *señor*.

– Dziękuję, *monsieur*. Tak więc północna granica jest całkowicie w naszych rękach. Odnieśliśmy tam kilka ważnych zwycięstw, o czym właśnie przeczytałem. Paso del Norte i Guadeloupe są nasze. W wąwozie zwanym Diabelską Przełęczą rozgromiliśmy oddział blisko tysiąca myśliwych i wrogich Apaczów, wreszcie w nasze ręce wpadł generał Unii, niejaki Hannert, który miał przywieźć pieniądze dla Juareza.

Hacjendero z trudem ukrywał swoje przerażenie.

– Więc macie pieniądze? – zapytał.

– Oczywiście.

– Dużo było?

– Napisano mi, że to wiele milionów.

– Jeszcze raz gratuluję, *señor capitano*!

– Dziękuję, *monsieur*. Należy się tylko spodziewać, że we wszystkich miejscach będziemy zwyciężać. Nasza chwalebna armia otrzymała swoją szkołę we wszystkich częściach świata. Triumfowaliśmy w Afryce, Azji i Ameryce; Europa drży przed nami; Juarez i banda dzikich Apaczów zostaną przez nas po prostu zdeptani i zmiażdżeni.

W tej chwili wszedł sierżant, przyprowadzając prosto i niedbale ubranego mężczyznę i zameldował:

– Panie kapitanie, ten człowiek właśnie przybył; powiedział, że chce rozmawiać z właścicielem.

Podczas tego meldunku wzrok kapitana był utkwiony w sierżanta. To dało nieznajomemu czas na niezauważalne danie znaku hacjenderowi. Arbellez nie zrozumiał jednak tej wskazówki, ale rzekł sobie, że człowiek ten ma jakiś zamiar, który powinien pozostać ukryty przed Francuzami, i postanowił podjąć odpowiednie działania.

Oficer zwrócił się do nieznajomego:

– Jesteśmy w trakcie przemarszu i nie wolno nam pozwolić, aby każdy wchodził tu swobodnie. Kim jesteś?

– Jestem biednym *vaquero*, *señor* – odpowiedział przybysz.

– Skąd?

– Z regionu Castannola.

– Czego tu chcesz?

– Mój pan miał pecha. Niektóre z jego najlepszych stad odeszły wraz z bizonami i nie potrzebuje teraz tylu pasterzy, co wcześniej. Zwolnił wielu z nich i ja, niestety, znalazłem się wśród nich. Znam *señora* Arbelleza jako człowieka, który dobrze płaci i dobrze traktuje swoich ludzi, dlatego przyszedłem tu, aby zapytać, czy nie mógłbym wstąpić do niego na służbę.

– Czy masz przy sobie jakieś papiery, zaświadczenie o zwolnieniu czy coś innego?

Na twarzy mężczyzny pojawił się dziwny uśmiech, ale odpowiedział skromnie:

– *Señor,* może tak się robi we Francji, ale w Meksyku nie pytają o takie rzeczy. Gdybym poprosił o świadectwo, zostałbym wyśmiany.

– Tak, niestety, nie muszę przestrzegać waszych zwyczajów, ale moich instrukcji. Mogę tu przyjmować tylko osoby, które potrafią się wylegitymować.

Wtedy wtrącił się hacjendero. Co prawda nie znał tego człowieka, ale powiedział:

– *Señor,* w przypadku tego człowieka papiery są zbędne.

– Dlaczego?

– Ręczę za niego.

– Więc znasz go?

– Tak.

– To co innego, *señor.* Czy znasz jego nazwisko?

Hacjendero postanowił nazwać go pierwszym lepszym nazwiskiem.

– Oczywiście! – odpowiedział. – Ten *vaquero* nazywa się Pablo Rebando. Jego brat był w mojej służbie i byłem z niego bardzo zadowolony.

– Więc może zamierza pan go zatrudnić, *monsieur*?

– Istotnie.

– Bardzo dobrze, daję ci moje pozwolenie na to, a ja wpiszę jego nazwisko na listę domowników hacjendy, którą muszę prowadzić.

– Dziękuję, *monsieur,* i proszę o wybaczenie, że sprawiłem panu taki kłopot.

– Ach, gdyby się nie miało innych kłopotów! – powiedział oficer, podnosząc się do odejścia. – Byłoby bardzo wygodnie

i łatwo być dowódcą przemarszu. To, co mam ci jeszcze do powiedzenia, to fakt, że być może niedługo będę musiał się z panem rozstać.

– Bardzo mi przykro z tego powodu, *señor*! – wydusił z siebie Arbellez.

– Wydaje się, że ściąganie oddziałów jest nieuchronne, być może w celu dokonania wielkiego energicznego natarcia. W liście przekazano mi rozkaz bycia gotowym.

– Czy należy się tego spodziewać w najbliższym czasie, *señor*?

– Nie dziś i nie jutro. Minie kilka dni, zanim rozkazy z Chihuahua czy Cohahuila zdołają tu dotrzeć. Na razie żegnaj, *señor*!

Rzekłszy to, wyszedł. Nie przyszło mu do głowy, że wielkiego natarcia wojsk i jego własnej gotowości do wymarszu nie da się pogodzić ze zwycięstwami, o których opowiadał.

Teraz Arbellez i Maria Hermoyes znaleźli się sami z rzekomym *vaquero*.

– No, przyjacielu, mam nadzieję, że jesteś ze mnie zadowolony – powiedział do niego hacjendero. – Powiedziałam nieprawdę na twój rachunek, czego nigdy nie robię.

– Dziękuję ci, *señor* – odpowiedział przybysz. – Myślę, że mogę usprawiedliwić tę małą nieprawdę. Nie było mi obojętne, że pańska hacjenda została zajęta przez Francuzów.

– Nie wiedziałeś o tym?

– Nie, a kiedy się dowiedziałem, nie sądziłem, że będę formalnie przesłuchiwany przez Francuzów. Uwierzytelnienie, świadectwo, w Meksyku! To niespotykane.

Obcy zaśmiał się serdecznie, a Arbellez dołączył do niego.

– A teraz powiedz mi, kim jesteś – spytał hacjendero.

– Nazywam się Armandos, *señor*. Pochodzę z Oaxaca.

– Z Oaxaca? Ach, gdzie jest teraz powszechna rebelia?

– Tak. Słyszałeś *señor* o generale Porfirio Diazie?

– Dużo, bardzo dużo, mój przyjacielu. Jest najdzielniejszym i najzacniejszym generałem, jaki kiedykolwiek istniał w Meksyku, a do tego uczciwym człowiekiem, co niestety jest rzadkością.

– W takim razie może też wiesz, że Diaz podniósł chorągiew przeciwko Francji.

– Wiem o tym. Jak powiadają okazał się zwycięzcą?

– Tak. Diaz w ogóle nie przegrał żadnej bitwy. Atakuje Francuzów na południu kraju, a teraz życzy Juarezowi, by uczynił to samo na północy.

– Gdyby tylko Bóg pozwolił, żeby to było możliwe.

– Dlaczego nie miałoby być możliwe? Diaz powierzył mi ważne depesze, które mam dostarczyć prezydentowi.

– Ach, więc jesteś posłańcem generała? – zapytał Arbellez ze zdumieniem.

– Tak, *señor*. Pochodzę z południa i przejechałem całą drogę tutaj w jednym etapie.

– Człowieku, to jest arcydzieło!

– Masz co do tego rację, *señor*. Trzeba było nie lada sprytu i ostrożności, aby przejść niewykrytym przez prowincje zajęte przez wroga. Jestem na wpół martwy z wysiłku i potrzebuję dnia lub dwóch odpoczynku. Został mi pan opisany jako dobry i lojalny patriota, dlatego postanowiłem zwrócić się do pana o gościnę.

– Bardzo dobrze zrobiłeś. Jesteś u mnie mile widziany i myślę, że nie ma się czego obawiać o ciebie i twoje depesze, mimo że jesteś u mnie pośród Francuzów. Czy mam je może przechować dla ciebie?

– Co?

– Depesze?

– Och, nie, *señor*. To nie jest konieczne. Mam je tak dobrze ukryte przy sobie, że nikt ich nie znajdzie. Bardzo dziękuję za pańskie dobre chęci.

– To było w dobrej wierze. Gdzie zamierzasz spotkać Juareza?

– W El Paso del Norte.

– Już go tam nie ma.

– Gdzie zatem jest?

– Nie wiem. *Capitano* otrzymał wcześniej wiadomość, że prezydent został wypędzony z El Paso.

– Przez kogo, *señor*?

– Przez Francuzów.

– Niechże ich diabli porwą! Teraz moje zadanie staje się podwójnie trudne.

– To prawda, drogi przyjacielu. Skąd teraz będziesz wiedział, gdzie jest Juarez?

– Muszę jechać do El Paso i mam nadzieję, że tam się dowiem.

– Ależ to bardzo niebezpieczne dla ciebie.

– Jestem przyzwyczajony do niebezpieczeństwa, *señor*.

– Chcę w to wierzyć. Gdybyś był strachliwy, Diaz nie powierzyłby ci tak bardzo ważnej misji. Czy masz dobrego wierzchowca?

– Niezłego, ale mój koń ogromnie ucierpiał z powodu długiej jazdy.

– Weź lepszego z mojego stada.

– Dziękuję ci, *señor*, i pochwalę twoje postępowanie w obecności Juareza. Czy powiesz mi, gdzie mam tu zamieszkać?

– To zależy wyłącznie od ciebie. Czy naprawdę jesteś tylko *vaquero*?

– Hm! Musiałem udawać, że nim jestem.

– No cóż, w tej roli też trzeba się wykazać. Przyjąłem cię do służby; będziesz więc z moimi *vaqueros*. Przebywają w pomieszczeniu na parterze lub na zewnątrz domu.

– Czy pozwolą mi bez przeszkód wchodzić i wychodzić?

– Naturalnie. Skoro występujesz jako *vaquero*, to nie mogę też pozwolić, byś został obsłużony. Twoi koledzy zapewnią ci

jedzenie i picie. Jeśli masz jakieś inne życzenia, wystarczy, że dasz mi znać.

– Dziękuję, *señor*. Nie potrzebuję niczego poza odpoczynkiem i lepszym koniem. Obiecałeś mi już jedno i drugie, jestem zatem zadowolony.

Wycofał się. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Maria powiedziała:

– Czy wiesz, *señor*, że wszedłeś w niebezpieczną sprawę?

– Niebezpieczną? Dlaczego?

– Co, jeśli Francuzi odkryją, że ten człowiek jest posłańcem od Diaza?

– Byłoby to bardzo niefortunne, ale co może mi zaszkodzić?

– Powiedziałeś przecież, że znasz go i jego brata.

– To prawda. Ale na razie nie widzę w tym żadnego zagrożenia. Czy mogłem wiedzieć, że ten człowiek, który chce wejść do mojej służby, jest, że tak powiem, szpiegiem?

– Hm. Czy należycie mu się przyjrzałeś?

– Tak.

– Jak ci się podoba?

– Jak mi się podoba? Och, nie jestem kobietą, *señora* – zaśmiał się Arbellez.

Wzruszyła ramionami z uśmiechem, ale kontynuowała zmartwionym tonem:

– Oczywiście nie o to mi chodziło. Nie pytałam cię przecież, czy zakochałeś się w tym człowieku.

– Cóż, nie jest człowiekiem, w którym można się zakochać.

– Nieprawdaż? Popatrzyłeś na jego oczy?

– Nie wiem, jaki był ich kolor.

– Och, *señor*, tego też nie mam na myśli. Jego wzrok był niedobry, bardzo niedobry.

– W jakim sensie?

– Taki bardzo niespokojny.

– Hm, tak. Jego spojrzenie było bardzo niespokojne, krążyło po pokoju, jakby czegoś szukał, a jednak nie mógł znaleźć; ja też to zauważyłem.

– Miał fałszywe, niewierne spojrzenie. Nie mogłabym mu zaufać.

– To w ogóle nie jest konieczne. Jest posłańcem; odpoczywa z nami i potem odjedzie. To, czy jego charakter jest dobry czy zły, to nie nasza sprawa.

Na tym sprawa się zakończyła. Poczciwy Arbellez nie miał pojęcia, jak wiele racji miała Maria Hermoyes w swojej nieufności. Niestety, wkrótce miał się o tym przekonać.

Tymczasem *vaquero*, który powiedział, że nazywa się Armandos, dołączył do przebywających na parterze pasterzy bydła. Podano mu jedzenie i picie, a w trakcie rozmowy dowiedział się wszystkiego, co chciał wiedzieć.

Później opuścił dom i udał się na pole, gdzie inni pasterze zgodnie ze swoim zwyczajem siedzieli przy ognisku. Tu dokończył swoje dociekania, tak że wieczorem był już wystarczająco we wszystkim zorientowany.

Teraz wyciągnął się na trawie, owinął się kocem i udawał, że śpi. Nikt się nim nie przejmował i to mu akurat bardzo odpowiadało.

Tak powoli zbliżała się północ. *Vaqueros* spali i mógł odejść bez zwracania na siebie uwagi. Aby nie zostać zauważonym przez francuskich strażników, musiał kołować, aż znalazł się naprzeciwko wejścia, a następnie poszedł prosto przed siebie w ciemność nocy.

Nie uszedł daleko, gdy zauważył przed sobą ciemną masę.

– Stój! Kto tam idzie? – zapytał cicho jakiś głos.

Ciemna masa składała się z ludzi, których on szukał.

– To ja – odpowiedział.

– Nareszcie.

To ostatnie słowo wypowiedział Cortejo, który trzymał się w pobliżu. Podszedł z córką i Meksykaninem, który jechał dziś u jego boku.

– Jak się mają sprawy? – zapytał.

– Źle i dobrze zarazem – odpowiedział fałszywy *vaquero*.

– Dlaczego źle?

– Ponieważ hacjenda jest zajęta przez Francuzów.

– Do diabła, to jest bardzo nieprzyjemne. Więc miałem rację. Dużo ich jest?

– Naliczyłem około trzydziestu ludzi.

– W takim razie nie jest tak źle. Kto jest ich przywódcą?

– *Capitano*, który wcale nie wygląda na bohatera.

– Zajmę się nim. Ale czy nie słyszałeś, dlaczego wpadli na pomysł, by zająć właśnie tę hacjendę?

– To jest posterunek na trasie przemarszu.

– To nie jest dobre. Jest tak, jak myślałem. Hacjenda znajduje się przy głównym trakcie do Cohahuila. Jeśli ją zdobędziemy, wkrótce znów możemy spodziewać się gości i będziemy musieli o nią walczyć.

Wtedy milczący do tej pory meksykański przywódca powiedział:

– Musimy się z tym pogodzić. Jest też dobra strona takiej sytuacji. Zdobywając ten posterunek, przerywamy linię komunikacyjną wroga. To jest dla nas wielki atut.

– Masz rację. Należy tylko umieścić w hacjendzie tak silny garnizon, aby nie można było jej ponownie nam jej odebrać. Ma to być punkt wyjścia, z którego będą prowadzone moje działania. Czy hacjenda jest dobrze strzeżona?

– Bardzo niedbale – odpowiedział szpieg. – Na czterech rogach są usypane szańce; na każdym jest wartownik, to wszystko.

– A inni?

– Leżą na dziedzińcu i śpią.

– *Capitano* też?

– Nie, on mieszka w pokoju w budynku.

– Wiesz w którym?

– Nie. Nie chciałem tak nieostrożnie wypytywać. Przecież nie da rady nam uciec.

– A co z *vaqueros*?

– Niektórzy śpią na parterze, a niektórzy na otwartej przestrzeni.

– Rozmawiałeś z samym hacjendero?

– Tak. To człowiek o bardzo prostym umyśle; uwierzył we wszystko, co mu mówiłem. Swoją drogą, wcale nie musimy się obawiać jego odwagi. Jest chory i słaby; wygląda tak, jakby już za nim stała śmierć.

– Nie będziemy mieli ciężkiej pracy – stwierdził Meksykanin. – Zostawimy na razie konie i będziemy się skradać do przodu pieszo. Czterech wartowników zadźgamy nożami tak, by nie mogli robić hałasu, a potem ruszymy na pozostałych, wszyscy jak najciszej, z nożami. Ale co zrobimy z *vaqueros*? Czy ich też zabijemy?

– Oczywiście! – stwierdziła Josefa.

– Właściwie nie jest to konieczne – powiedział Cortejo. – Zostanę właścicielem hacjendy i potrzebuję tych ludzi do ochrony stad.

– Co do mnie, to pozwolimy im żyć – rzekł Meksykanin. – Nie musimy mordować dla samej przyjemności. Najważniejsze to zdobyć jakiś łup, a oczywiście nasza umowa jest taka, że wszystko co znajduje się w budynku należy do nas.

– Z wyjątkiem hacjendera i Marii Hermoyes – powiedziała Josefa.

– Zgoda. Więc zaczynajmy.

Kilka minut później ludzie ruszyli na hacjendę, która została otoczona, a następnie Meksykanie zaczęli ostrożnie wspinać się

po dylach. Nie miało im się to jednak udać całkiem niezauważenie, jak myśleli.

Jeden ze wartowników stanął na podwyższeniu i pilnie spoglądał w niemal nieprzeniknioną ciemność. Wydawało mu się, że słyszy dziwny, niewyraźny dźwięk. W tej ciemności nie mógł nic zobaczyć, więc położył się na ziemi i nasłuchiwał. Hałas był teraz silniejszy i bardziej wyrazisty i przybliżał się; brzmiał jak kroki wielu ludzi i – tuż przed nim na dylach rozległ się trzask.

– *Halte-là! Qui vive*? – Stój! Kto tam? – zawołał głośno.

Pozostał przezornie na ziemi, ale trzymał karabin gotowy do strzału i nasłuchiwał odpowiedzi. Nie było żadnej. Przez kilka sekund panowała cisza, ale potem na nowo usłyszał trzeszczenie dyli.

– Kto tam jest? – zapytał ponownie. – Odpowiadać albo strzelę!

Właśnie wtedy zobaczył, że nad nim nad palisadą pojawia się głowa. Jakiś osobnik próbował wejść do środka. Podniósł karabin i pociągnął za spust.

Strzał rozbrzmiał głośno daleko i nocnej ciszy. Zaalarmowani tym żołnierze wyskoczyli ze swoich prymitywnych obozowisk i chwycili za broń, ale już za późno. Gdy rozległ się strzał, donośny głos na zewnątrz krzyknął:

– Do diabła! Jakie to głupie! Ale naprzód!

To był meksykański przywódca. Jego ludzie posłuchali go.

Ledwo usłyszeli to wezwanie, już przeskoczyli przez palisadę ze wszystkich stron i rzucili się na Francuzów, którzy pomimo ciemności byli łatwo odróżnialni od jego własnych ludzi. Rozległo się kilka daremnych strzałów, padły przekleństwa, tu i ówdzie rozległ się okrzyk śmierci, a potem nastała cisza.

Ale w niektórych oknach hacjendy pojawiło się światło. Jedno z nich zostało otwarte. Kapitan, zaskoczony w śnie, szybko zapalił światło i spojrzał w dół. Jego głowa była wyraźnie widoczna w blasku światła.

– Co się dzieje na dole? Dlaczego strzelają? – zawołał.

– By zobaczyć twoją głowę, głupcze! – krzyknął z dołu Meksykanin.

Po tych słowach wycelował w górę i pociągnął za spust. Jego kula przeszyła głowę oficera. Przy życiu nie pozostał ani jeden Francuz.

Vaqueros, którzy leżeli na parterze, podnieśli się przy pierwszym strzale i natychmiast zapalili kilka sosnowych łuczyw. Pospiesznie wychodzili, ale Cortejo zastąpił im drogę w drzwiach.

– Z powrotem! – powiedział. – Jesteśmy przyjaciółmi!

– Och, *Dios*! *Señor* Cortejo! – zawołał stary pasterz, który go znał.

– Tak, to ja. Pokonaliśmy Francuzów. Mam nadzieję, że jesteście dobrymi Meksykanami i trzymacie z nami. Gdzie jest Arbellez?

– Zapewne w sypialni.

– Dajcie mi łuczywo!

Starzec pozwolił zabrać sobie pochodnię z dłoni. Gdy zobaczył, kto idzie za Cortejo, zawołał ze zdziwieniem:

– *Señorita* Josefa! Co za cud!

Dziewczyna zignorowała jego zdziwienie. Poszła za ojcem na górę.

Petro Arbellez oczywiście obudził się po strzelaninie. Wyskoczył z łóżka i zapalił świecę. Rozległo się kilka kolejnych strzałów, więc było to poważne wydarzenie. Ubrał się tak szybko, jak tylko zdołał i już miał wyjść z pokoju, gdy weszła Maria Hermoyes.

– Och, *señor*, co to może być? – zapytała zaniepokojona.

– Nie wiem – odpowiedział.

– To musi być walka! Słyszysz krzyki?

– Walka? Z kim mieliby walczyć Francuzi? Kto mógłby zaatakować hacjendę? To musi być nieporozumienie.

Ledwo usłyszeli to wezwanie, już przeskoczyli przez palisadę ze wszystkich stron i rzucili się na Francuzów, którzy pomimo ciemności byli łatwo odróżnialni od jego własnych ludzi.

– Och, wtedy strzelanina już by się skończyła! Słyszysz ten krzyk? Mój Boże!

– Santa Madonna, to był śmiertelny okrzyk!

– Teraz kolejny i kolejny!

– Ktoś wchodzi do domu! Czy słyszysz głosy, Mario?

– Tak. Jeden nawet wchodzi teraz na schody. Kto to może być?

Hacjendero chciał otworzyć drzwi, ale te już zostały otwarte. Stały przed nim dwie osoby, oświetlone sosnowym łuczywem.

– Cortejo! – zawołał zaskoczony Arbellez.

– Josefa! – krzyknęła Maria Hermoyes.

Od razu rozpoznała dziewczynę, mimo jej przebrania.

Cortejo miał w ręku odwiedziony pistolet, podobnie jego córka. Za nimi było widać złowrogie sylwetki jego Meksykanów.

– Tak, to ja – odparł, wchodząc i zamykając za sobą i Josefą drzwi.

– Mój Boże, czego chcesz? – zapytał Arbellez.

– Za chwilę usłyszysz. Usiądźmy!

– Tak, usiądźmy! – dodała Josefa, siadając na krześle i spoglądając triumfalnie swoimi okrągłymi, zimnymi sowimi oczami na dwoje przerażonych staruszków. – Kto ma prowadzić przesłuchanie, ojcze?

– Ach, chcesz się zabawić – powiedział. – No cóż, mów pierwsza.

Cortejo oparł się o hamak i rzucił na podłogę płonące łuczywo. Było tu bezużyteczne, gdyż paliło się światło. Podczas gdy bawił się pistoletem, jego oczy spoczęły na Arbellezie i Marii z wyrazem pogardy i nienawiści.

Jego córka opuściła kurek swojego pistoletu i powiedziała do hacjendera:

– Pytasz, czego my tu chcemy? Chcemy sądzić!

– Sądzić? – zapytał Arbellez. – Kogo?

– Ciebie i tamtą.

Przy tych słowach wskazała na Marię Hermoyes.

– Żartujesz, *señorito* – rzekł Arbellez. – Nic ci nie zrobiliśmy. Jestem zdumiony, że widzę cię tutaj, *señor* Cortejo. Czy będziesz tyle dobry, aby wyjaśnić swoje pojawienie się w mojej hacjendzie?

– Udzielę ci tego wyjaśnienia w zastępstwie mojego ojca – powiedziała Josefa. – Czy ostatnio słyszałeś o nas?

– Tak – odrzekł hacjendero.

– Co?

– Mam powiedzieć? Nie wierzyłem w to.

– Mów! Rozkazuję ci!

Starzec cofnął się o krok i powiedział:

– Rozkazujesz mi? W każdym razie to ja tu rozkazuję!

– Bardzo się pan myli – odparła z dumą. – Ja jestem teraz panią hacjendy del Erina, którą chciałaś nam zabrać.

– Jeśli będziesz mówiła takim tonem, wezwę moich *vaqueros*!

– Zawołaj ich! – odparła szyderczo.

Arbellez rzeczywiście podszedł do drzwi. Gdy je otworzył, zobaczył dzikie twarze kilku Meksykanów, którzy otrzymali od Corteja rozkaz, by pilnowali pokoju. Wycofał się i zapytał:

– Kim oni są? Czego chcą ci ludzie?

– Są moją gwardią honorową – odpowiedziała Josefa. – Chcę ci powiedzieć, że najechaliśmy na hacjendę z trzystoma ludźmi. Francuzi zostali zabici, a ty jesteś w moich rękach.

– Ja? W twoich rękach? Mylisz się, *señorita*. Możecie atakować i zabijać Francuzów; ale ja jestem wolnym Meksykaninem, którego nie możecie skrzywdzić!

– To ty się mylisz. Nie jesteś wolnym Meksykaninem, ale naszym więźniem. Pamiętaj o tym! Odpowiedz mi zatem na moje pytanie sprzed chwili: co ostatnio o nas słyszałeś?

Petro Arbellez miał trudności ze pojęciem sytuacji, była ona dla niego niemal niezrozumiała. Miał być więźniem tych dwojga ludzi? Dawniej byłby się bronił, ale teraz był stary, słaby i schorowany, brakowało mu energii z młodszych lat; widział broń, która

była w rękach tych osób, słyszał dzikie krzyki, wrzaski i radosne okrzyki, które teraz rozbrzmiewały w pokojach hacjendy, i to zwiększało jego konsternację.

– Odpowiedz mi! – rozkazała Josefa.

A kiedy natychmiast nie posłuchał, odwiodła kurek pistoletu.

– Och, *señor,* mów, odpowiadaj! Zostaniesz zastrzelony! – błagała Maria Hermoyes.

– Tak, jeśli oboje nie będziecie mi bezwzględnie posłuszni, zostaniecie rozstrzelani bez litości i współczucia – zagroziła Josefa, która bardzo dobrze czuła się w roli zbójeckiego wodza. – Więc co słyszałeś?

– Słyszałem, że *señor* Cortejo chce być prezydentem – odparł teraz Arbellez.

– Prezydentem? Phi! On chce być królem! Cały Meksyk będzie należał do niego i do mnie! Ta hacjenda zostanie zajęta najpierw przez nas, gdyż jest naszą własnością.

– Ona jest moja!

– Kłamiesz!

– Kupiłem ją!

– Udowodnij to!

– Już to udowodniłem, posiadam dokument zakupu.

– Ten dokument jest sfałszowany. Nie kupiłeś hacjendy, lecz otrzymałeś ją w prezencie, a akty kupna zostały sporządzone tylko dla pozoru.

– Nawet jeśli odgadłaś poprawnie, hacjenda nadal byłaby moją własnością. A nawet gdyby moje prawo było nieważne, hacjenda powróciłaby do hrabiego de Rodriganda, ale nie do ciebie.

– Ba! To co należy do hrabiego należy także do nas! Oczywiste, że tego nie rozumiesz!

– Och, rozumiem i pojmuję! – odpowiedział Arbellez.

Ogarnęła go złość i zaczął stawać się coraz śmielszy.

– Rozumiesz? Doprawdy! – szydziła Josefa. – Jakże nieskończenie jesteś mądry!

– Tak, rozumiem to – odparł. – Znam wszystkie twoje niegodziwości, widzę w tym jakiś potworny szwindel.

– Bądź tak dobry i powiedz nam – zaśmiała się złośliwie.

– Podsunięty hrabia Alfonzo to Cortejo, więc wierzysz, że to, co należy do Rodrigandów, należy też do ciebie. A może chcesz temu zaprzeczyć?

– Zaprzeczyć? Przed tobą? Nie jesteś przy zdrowych zmysłach. To co mówi szaleniec nie musi być potwierdzone ani zaprzeczone. A więc naprawdę kupił pan hacjendę, mój drogi *señor* Arbellez?

– Tak.

– Ma pan na to dokument?

– Tak.

– Gdzie?

– Jest dobrze schowany.

– Pytam gdzie?

– To jest jedynie moja sprawa, ale nie twoja.

– Znów się mylisz. Przyszłam zażądać od ciebie tego dokumentu.

– Ach, chcesz wejść w posiadanie dokumentu?

– Tak – zaśmiała się.

– I tym samym pozbawić mnie mej własności?

– Tak.

– Nie uda ci się.

– Zmuszę cię.

– Spróbuj!

Wtedy jej sowie oczy rozszerzyły się, rysy jej twarzy ukazały niewypowiedzianą nienawiść. Odpowiedziała:

– Nie denerwuj mnie, starcze! Twoja kara byłaby straszna. Żądam dokumentu. Gdzie go masz?

– Powtarzam, że go nie otrzymasz.

– Poszukam.

– Nie znajdziesz go.

– Przekopię cały dom.

– Nie ma go w domu. Twoje poszukiwania byłyby daremne.

Wtedy zerwała się z krzesła, zacisnęła pięści i wysyczała do niego:

– Ach, nie masz go tutaj, w hacjendzie?

– Nie.

– Zatem gdzie?

– Razem z testamentem jest w bezpiecznych rękach. Nie zadawaj sobie trudu.

Jej złość rosła, oczy rzucały błyskawice.

– Sporządziłeś testament? Ach, czy to prawda?

– Tak – odparł.

– I wyznaczyłeś spadkobiercę?

– Tak.

– Do kogo ma należeć hacjenda?

– Hacjenda i wszystko, co w niej jest.

– Kto to taki?

– Sekretów testamentu nie można ujawniać, *señorito*.

Wówczas ona tupnęła nogą i zawołała:

– Ale ja nakazuję ci powiedzieć.

– Nie masz prawa mi rozkazywać.

– To się okaże. Jeśli nie odpowiesz mi dobrowolnie, będę wiedziała, jak zmusić cię do mówienia.

Starzec odzyskał całą swoją energię. Odpowiedział najbardziej pogardliwym tonem:

– Nie jesteś osobą, która mogłaby mnie zmusić do czegokolwiek!

– Nie? Ach, nie wierzysz więc, że hacjenda jest w naszej mocy?

– Wierzę w to. Muszę w to uwierzyć, bo słyszę skowyt radości twojej bandy, która już zaczęła plądrować.

– Więc słyszysz to? Czy naprawdę to słyszysz? Tak, nasi chłopcy nie są leniwi. Wszystko, wszystko co znajdą będzie ich, tylko Petro Arbellez i Maria Hermoyes są naszą własnością; te

dwie osoby zastrzegliśmy sobie. Nie myślcie, że możecie uciec lub umknąć nam!

– Ja to wiem. Jesteśmy w mocy dwóch diabłów.

– Dwa diabły, tak, to właściwe określenie. Zobaczycie, jak to jest, kiedy diabeł ma do czynienia z innym. Pytam po raz ostatni: czy odpowiesz mi, gdzie jest dokument zakupu?

– Nie dowiesz się.

– Ani kto jest twoim spadkobiercą?

– Nie.

– Każę cię umieścić w najgłębszej piwnicy.

– Zrób to!

– Będę cię torturowała i dręczyła na wszelkie możliwe sposoby!

– Spróbuj. Bóg nas ochroni.

– Bóg nie będzie się o ciebie troszczył. Będziesz musiał głodować, powoli, aż się zagłodzisz na śmierć.

– Nie boję się śmierci!

– Och, mój starcze, nauczysz się jej bać. Twoja śmierć będzie straszna. Każę cię obijać batem. Będziesz cierpiał wszystkie męki, jakie tylko mogą być!

– Znajdzie się mściciel!

– Nie wierz w to. Kto odważy się targnąć na córkę króla Meksyku lub starać się na niej zemścić!

– Twój ojciec nie jest jeszcze królem i nigdy nim nie będzie!

– Robaku, jakim jesteś! Więc pozostajesz przy swoim uporze?

– Tak. Jestem starym człowiekiem. Ograbiliście mnie z jedynego dziecka, podkopaliście szatańską przebiegłością szczęście całych rodzin. Jeśli zamęczysz mnie na śmierć, twoje sumienie nie stanie się dużo cięższe, ale ja cię przeklinam, a moje przekleństwo uderzy cię, kiedy najmniej o tym będziesz myślała!

Wybuchnęła drwiącym, ale wymuszonym śmiechem.

– Tak, jesteś starym człowiekiem – powiedziała – jesteś zgrzybiały i nie wiesz już, co mówisz. Ale jeśli będziesz miał zmasakrowane plecy, to przynajmniej będziesz mógł powiedzieć to, co chcę od ciebie usłyszeć. Skończyłam z tobą, a teraz wezmę się za tę drugą.

Poczciwa stara Maria Hermoyes przysłuchiwała się tej rozmowie z drżeniem i trwogą. Znała dobrze tę dziewczynę, wiedziała czego się spodziewać po Josefie, która nie stroniła od przemocy i okrucieństwa. Teraz przyszła na nią kolej. Ze strachem czekała na to, co jej powie.

– Dlaczego opuściłaś stolicę Meksyku? – zapytała Josefa.

– Chciałam udać się do hacjendy – odpowiedziała Maria.

– Dlaczego?

– *Señor* Arbellez jest moim przyjacielem.

– Ach, nie miałaś przyjaciół w Mexico? Nie miałeś nas?

Staruszka spuściła oczy, zakłopotana. Czy mogłaby powiedzieć, że z Meksyku wygnał ją strach? Jednak dziewczyna przyszła jej z pomocą:

– Obawiałaś się nas, prawda?

Maria milczała, ale Josefa kontynuowała:

– Miałaś rację, stara. Gdybyś została w Mexico, nie żyłabyś dzisiaj. Mexico to złe, niezdrowe miejsce dla ludzi, którzy na siłę wdzierają się w tajemnice innych. Mądrze zrobiłaś, że uciekłaś. Ale z kim odjechałaś?

– Z dwoma Indianami.

– Z Indianami? Miałaś zatem dobre towarzystwo. Ale to już nie moja sprawa. Mam dziś do ciebie kilka pytań. Jeśli odpowiesz na nie zgodnie z prawdą, twój los przynajmniej nie będzie tak okrutny jak tego upartego starca. Czy wiesz, że sporządził testament?

– Tak – odparła Maria.

– Czy rozmawiał z tobą o nim?

– Tak.

– Czy wiesz, kto będzie spadkobiercą?

– Nie.

To „nie" zostało wypowiedziane wyjątkowo niepewnym tonem. Ten ton zwrócił uwagę Josefy, więc krzyknęła na staruszkę:

– Nie kłam! Wiesz, komu zapisał hacjendę?

– Tak – odrzekła teraz cicho Maria.

– Kto to jest?

– Jeden krewny.

– Ma jakichś krewnych? Tego nie wiedziałam. Gdzie są ci krewni?

– Całkiem na północy kraju.

Maria Hermoyes patrzyła na Arbelleza przy każdej swojej odpowiedzi. Ten nie udawał, że słyszy, co powiedziała. Strach kazał jej mówić.

– Na północy? – powtórzyła Josefa. – Gdzie?

– W Fort Guadeloupe.

– Tego nie znam. Gdzie on leży?

– Nad Rio Puerco.

– Ach, tam w górze; czy wiesz, kim są ci krewni?

– To kupiec, który nazywa się Pirnero.

– Pirnero; to nazwisko trzeba będzie zapamiętać. A ten Pirnero ma odziedziczyć hacjendę?

– Nie on, ale jego córka.

– Co ty mówisz! Czyli ma córkę, a nawet kilka?

– Tylko jedną.

– Jak ma na imię?

– Resedilla.

– Piękne, poetyckie imię. Dopilnuje się, żeby ta Resedilla też przeżyła coś poetycznego. Czy ona wie, że ma zostać spadkobierczynią?

– Tak.

– Więc ona tu była?

– Nie. *Señor* Arbellez wysłał do niej posłańca.

– Kto był posłańcem?

– Jeden *vaquero.*

– Kiedy wyjechał?

– Niedawno.

– Naprawdę? Dopiero niedawno? Przypuszczam więc, że jeszcze nie wrócił?

– Nie.

– To dobrze. Musimy poczekać na tego człowieka. Jaką wiadomość miał do przekazania?

Maria spojrzała niepewnie na Arbelleza. Ten zauważył to i powiedział:

– Odpowiadaj. Możesz powiedzieć spokojnie, co wiesz. Nie możesz być męczona z mego powodu, *señora*.

– Słyszałaś, więc odpowiedz – rozkazała Josefa.

– Vaquero miał poprosić *señoritę* Resedillę o przybycie do hacjendy.

Po twarzy Józefy przebiegł tryumfujący uśmiech.

– Ach, dziedziczka przyjeżdża do del Eriny? – zapytała szybko.

– Tak.

– Zostanie przyjęta z godnością. Pogratuluję jej tego spadku. Czy byłaś obecna przy tym, gdy Arbellez sporządzał swój testament?

– Nie.

– Gdzie go napisał?

– Tu, w tym pokoju.

– Kto był obecny przy tym?

– Trzech *señores,* którzy przyjechali konno i zostali tu na dwa dni.

– Skąd przybyli?

Chcesz przeczytać
dalszą część?

Leśna
Różyczka

Zapraszamy do księgarni!

Maksymilian, cesarz Meksyku cz. 2